

ZOFIA STRZYŻEWSKA

**DZIENNIK MOJEJ NIEWOLI JULIANA SABIŃSKIEGO  
CZYLI O DOLI ZESŁAŃCZEJ DAWNEJ I NOWSZEJ**

Okładkę II tomu wspomnień J. Sabińskiego zdobi rycina pt. „Syberia Wschodnia. Jezioro Bajkał i okolice. Stacja Studinka w okolicy południowego Bajkału”, gdzie autor znajdował się na wygnaniu jako tzw. osadnik (posielec). Na okładce t. III – widnieje „Kamieniec Podolski, twierdza „Polska Brańma”. Już sam dobór tych widoków pokazuje skąd i dokąd został wypędzony nasz bohater. W 2009 r. wspólnym sumptem wydawnictwa „Neriton” i Instytutu Historii PAN (jako część projektu badawczego „Polskie organizacje niepodległościowe w dobie międzypowstaniowej”) został opublikowany *Dziennik* autorstwa Juliana Glaubicza Sabińskiego. Do druku tekst przygotowali Wiktoria i René Śliwowsy. Przedmowę napisał Jan Trynkowski. Indeks osób opracowali Wiktoria Śliwowska i Jan Trynkowski przy współpracy Anny Brus i Magdaleny Micińskiej. Wszystkie wymienione osoby są historykami o znaczącym dorobku naukowym w tej problematyce, co niewątpliwie wpłynęło na ogólny poziom całej edycji. Wrażenie robi wyjątkowo wnikliwe odczytanie z rękopisu obszernego tekstu (3335 stron) *Dziennika* Juliana Sabińskiego z licznymi wstawkami, cytatami etc., dodatkowo w różnych językach. Z głęboką znajomością rzeczy i zacięciem literackim została opracowana *Przedmowa*, prezentująca pełny życiorys Sabińskiego, a także precyzyjny przegląd bazy źródłowej problemu, uzupełniony wnikliwą analizą historiograficzną, dotyczącą dziejów Stowarzyszenia Ludu Polskiego, czyli największej organizacji spiskowej okresu międzypowstaniowego, do której należał, i za którą poszedł na katorgę Julian Sabiński.

Edycja składa się z trzech tomów: I – obejmuje lata 1839-1843; II – lata 1843-1857; III – zawiera świetnie opracowany indeks osób, który bardzo pomaga przy percepcji treści *Dziennika*. Rękopis ma oryginalny tytuł: „Dziewiętnaście lat wyrwanych z mojego życia czyli Dziennik mojej niewoli i wygnania od roku 1838 do 1857 włącznie”. Wydanie zostało ozdobione portretem autora z dagerotypu, przechowywanego w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Na okładce I tomu widnieje ilustracja: „Warzelnie soli na Wiatskiej Wyspie, mała wyspa i most łączący obie wyspy w Usolu k. Irkucka”, gdzie przebiegał pierwszy okres katorgi

Omówienie *Dziennika* Sabińskiego w IH PAN i Komisji Syberyjskiej Komitetu Historii Nauki i Techniki oraz w Instytucie Historii Nauki PAN wywołało sporo emocji. Zabierając głos na forum Komisji chciałam podzielić się wyłącznie swoimi osobistymi wrażeniami po przeczytaniu jego tekstu. Rejestrując przebieg swego życia na zesłaniu Sabiński pozostawił nam maksymalnie zbliżony do rzeczywistości 19-letni okres życia zesłańców polskich na Syberii w I połowie XIX w. i nie tylko!

Wiadomo, że dzienniki są stosunkowo rzadkim i szczególnie cennym rodzajem źródeł historycznych, ponieważ są współczesne opisywanym wydarzeniom (na nich krzepnie krew wydarzeń), na ocenę których nie mają wpływu mankamenty pamięci i „mądrość” późniejszych doświadczeń (nawet w przypadku redakcji nie da się i nie ma sensu poprawiać całego tekstu, bo złamało by to całą tkankę narracji). Wyjątkowość *Dziennika* Sabińskiego polega wg mnie na tym, że cały przedstawiony w nim rozmaity materiał kogo i czego by on nie dotyczył sprowadza się głównie do pokazania, jak naprawdę funkcjonował system karalny caratu w latach 30-50 XIX w. Innymi słowy, jak wyglądały przepisy i do czego służyły „możliwości”. Co było nieodwołalne, a co można było ominąć, w jaki sposób i przez kogo.

Na pewno system represyjny caratu w XIX w. można odtworzyć na podstawie akt prawnych i przepisów. Pamiętać trzeba, że szczególnie w Rosji między przepisem a jego wykonaniem istniał czasem „ogromny dystans”. Zaletą *Dziennika* jest również to, że jego narracja została przedstawiona w szerokiej przestrzeni czasowej: od apogeum samowładztwa cara Mikołaja I do czasów kryzysu i śmierci monarchy w 1855 r. Zmiana sytuacji osobistej zesłańców wynikała również z ogólnego rozprzężenia systemu. Tak czy inaczej w sposób rzeczowy i bezpretensjonalny Sabiński zarejestrował i przybliżył nam masę wydarzeń i ludzi różnych narodowości i wiary, statusu społecznego i poziomu kultury, urzędników i wolnych artystów, odwiedzających Syberię, kupców i przedsiębiorców, przedstawicieli różnego szczebla administracji etc. i to na tle syberyjskiej przyrody i pogody, zjawisk ekonomicznych i kulturowych. Posługując się wspaniałą polszczyzną pozostawił nam obraz nieprzejednanego polskiego „wolnodumca” pierwszej połowy XIX w.

Czytanie *Dziennika* wciągnęło mnie i głęboko poruszyło. Mimo, że jest on niewątpliwie źródłem cennej informacji, okazało się, iż zapoznanie się z tekstem Sabińskiego było nie tylko poznawaniem nowego, lecz bardzo często rozpoznawaniem czegoś dobrze mi znanego. Dotyczyło to różnych sytuacji, zjawisk społecznych, zachowań ludzkich, warunków bytowania, w tym specyficznego syberyjskiego klimatu itd. itp. Było to tym, co sam Sabiński określił słowami: „Z własnej niedoli tak mi łatwo cudzą zgadywać” (I, 327-328).

14 marca 1847 r. po otrzymaniu od siostry Teodory listu z mnóstwem pamiętkowych dodatków Sabiński zanotował:

Ileż te wszystkie szpargały obudziły we mnie uczucie i wspomnień [...] Patrząc na nie myśl moja w jednej chwili przebiegła cały szereg wydarzeń [...] Jak w czarodziejskim zwierciadle, tak w mojej pamięci przemykały się niezliczone sceny przeszłości, tak żywe, tak wyraźnie odbite, jak gdybym patrzył na jakiś obraz teraźniejszego wypadku, jak gdyby dusza moja była pod wpływem świeżego obecnego wrażenia...

To było właśnie to. Już podtytuł *Dziewiętnaście lat wyrwanych z mojego życia* dosłownie uderzył, bo dokładnie tyle lat spędziły na wygnaniu w specposiołkach północnego Uralu, w warunkach bardzo podobnych do tych jakie miał „w robotach”, a szczególnie na „osadnictwie” Sabiński, moja mama i ciocia. Były to lata 1930-1949. Dwaj ich bracia, podobnie jak współwygnaniec Sabińskiego, Jerzy Olesza, „samowolnie skrócili sobie czas naznaczonej kary”, bo wcześniej zostali zamordowani (1938, 1943 r.). Prawda, J. Olesza zmarł śmiercią naturalną. Był znany czas jego zgonu, zaś na jego grobie przyjaciele mogli

postawić nagrobek z napisem. W relacji Sabińskiego napis ten brzmiał:

Urodził się wolny; żył prawy; umarł w niewoli. Spółmęczennicy – towarzysowi. Zmiłuj się nade mną Boże, boć mie podeptał człowiek.

W 1856 r. napis ten został nieco zmieniony, tym nie mniej brzmiał:

Jerzy Olesza umarł na wygnaniu Marca 11 d. 1841 r. straciwszy wszystko prócz cnoty, miłości rodaków. Kamień ten położony przez współwygnańców w r. 1856” (I, 317).

W przypadku moich wujków nie było grobów, nieznana była dokładna data ich śmierci i miejsce pogrzebu. O tym wszystkim dowiedziałam się dopiero w połowie lat 1990-ch, dzięki pomocy „Memoriału”. Ślad po starszym bracie mamy znalazł się we wspólnym grobie (ok. 8 tysięcy ofiar) pod Jekaterinburgiem. Grobu młodszego wujka odnaleźć się nie udało. Nie było też komu przekazać tych wiadomości, bo ich najbliżsi już nie żyli.

Czas mojego pobytu na zesłaniu był znacznie krótszy, bo obejmował tylko 9 lat (1940-1949), ale też dawał pewne podstawy do odniesienia i porównania. Co m.in. uderzało prawdziwością opisu? Przede wszystkim zwariowana syberyjska pogoda. Co innego jest zwiedzić Syberię, a co innego zamieszkać tam dłużej. Pogoda Północy jest wyjątkowo niestała, gwałtownie zmieniająca się, nieprzewidywalna. „Oto – notował J. S. 8 lipca 1841 r. – obraz tutejszego klimatu. Po ciągłych [...] afrykańskich skwarach nagle dziś takie zimno, jak u nas w głuchej jesieni. I coś dziwnego, że częste i śmiertelne zjawiają się tu choroby” (I, 326).

Cierpiąc z powodu „zupełnej słabości i nie ustającego bólu głowy”, wywołanych 42° skwarem J. S. pisał 4 sierpnia 1843 r., że trwające ciągle upały „prawie w takim stosunku przechodzą największą gorąc lata naszego kraju, ile tu mrozy silniejsze od naszych” (I, 476). Mijające lata nie dawały przyzwyczajenia do tej niszczącej pogody. 8 września 1845 r. czytamy kolejny zapis:

Doświadczona jest rzecz w tym przeklętym kraju, że przed nastaniem zimy najbardziej lękać się trzeba chorób z przeziębienia, tych właśnie których wtenczas uchronić się najtrudniej. Najcięższe mrozy mniej szkodzą, niż miernie chłodny, lecz przenikający wiatr z Angary w dniu ciepłym, gorącym nawet, jakie tu często bywają we wrześniu (II, 155).

Osobiście pamiętam ulewny deszcz rano 1 stycznia, zaś wieczorem – 12°C. Burza z grzmotami i błyskawicami mogła łączyć się z nawalnym śniegiem, gradem etc. Nie przypominam sobie, żeby tam przez jakiś dłuższy czas utrzymywała się taka sama pogoda: „Zdradziecki klimat” – trafnie określał go Sabiński. Najcięższe swoje grypy, anginy, zapalenia przeżywałam w czasie upałów. „Na Sybirze – po raz kolejny notował Sabiński – samo zdrowie jest zabronionym owocem” (I, 397).

Drugim utrapieniem dnia codziennego były ogromne odległości. Wszędzie było daleko. Ok. 8 km od Usola do Aleksandrowska, które Sabiński prawie regularnie pokonywał na piechotę – to było równo tyle, co od naszego specposiołku Karnalitowy Rudnik do szpitala miejskiego w mieście Solikamsk, do którego codziennie musiały dojść na piechotę moja mama i ciocia. Szczególnie trudno i niebezpiecznie było w zimie, gdy na przebiegającą przez las ścieżkę czasami wychodziły wilki. Kiedy w mroźnej mgłę widziało się w oddali jakiś

ciemny poruszający się punkt nigdy nie było wiadomo, czy to człowiek czy zwierzę. Specyficzne wycie wilków pamiętam do dziś dnia. Do klasy piątej też musiałam przez jakiś czas chodzić tą samą drogą. Kiedy wyjeżdżałam do Polski jeden z leningradzkich profesorów podał argument nie do odparcia – pozbędzie się pani tych koszmarnych odległości.

Wszystko można obrzydzić człowiekowi, nawet las. 7 kwietnia 1840 r. oglądając przez lunetę z wieży strażniczej otaczający teren, Sabiński z Leopoldem Niemirowskim próbują „uważać okolice”, co jednak się nie udaje. Bo „Gór Sajańskich pasmo lasem jest zasłonięte zupełnie i wszędzie las przeklęty ograniczał naszą ciekawość” (I, 226). Moja mama, która w wieku 20 lat poznała wszystkie wdzięki lasu na jego wyrębach, wprost nienawidziła go. Będąc ciężko chorą, nieprzytomną, w szpitalu w Warszawie powtarzała: „Nie chcę do lasu”.

Mimo ogromnych odległości czasowych warunki bytowania opisane przez Sabińskiego, były mi jakoś dziwnie znane. 8 lutego 1840 r. „odstępując gospodarzowi mieszkania” 2 pudy należnej mu mąki żytniej „rządowej”, przy 2-ch funtach soli, Sabiński dostaje mieszkanie na miesiąc, dwie szklanki gorącego mleka co rano, do tego niewielki kawałek chleba, opał, wodę i samowar na żądanie. To była już prawie scena z mojego dzieciństwa (ok. 1943-1944 r.). Za moją kartkę chlebową dziecięcą miejscowi dawali nam pół litra mleka, wszystko pozostałe trzeba było załatwić we własnym zakresie.

Czytając o portretach i pejzażach, malowanych przez L. Niemirowskiego dla miejscowych notabli, żywo wspominam mieszkanie swojej szkolnej koleżanki, gdzie mieściła się cała mała galeria sztuki, wykonana przez więźniów GUŁAGU. Jej ojciec był księgowym w Usollagu.

Żywo pamiętam, jak brakowało mojej mamie i cioci polskich kalendarzy. I znów Sabiński: 14 lutego 1845 r., ciesząc się z powodu przysłania przez Xawerę Grocholską „kilkunastu kalendarzy”, zapisuje:

[...] w pustyni albo wśród obcych [...] mową i wiarą ludów, bardzo pożądaną, musi być rzeczą [...] skazówka do obchodzenia świąt swojego kościoła i zachowywania swojej wiary przepisów ażeby na wygnaniu nawet nie zbaczać z drogi pobożnego ojców zwyczaju (II, 115).

Kiedy w 1962 r. – po spotkaniu z wujkiem, którego nie widziała od 1922 r. – mama wracała z Polski do Rosji, też wiozła kilka pamiątkowych kalendarzy dla siebie i znajomych. Wszystkie zostały zabrane przez sowieckich celników.

Jako wnikliwy obserwator Sabiński nie mógł nie zauważyć i nie odnotować pewnej cechy życia rosyjskiego, którą Borys Pasternak później określił jako „dwojeduszyje wozwiedionnoje w sistemu” (w swobodnym tłumaczeniu: dwulicowość doprowadzona do systemu). Chodzi o to, że miejscowa i krajowa administracja, szczególnie w tak oddalonym od centrum regionie, jakim była Syberia, nie zawsze ściśle przestrzegała odgórnych rozporządzeń. W jakimś sensie mieściło się to w formułce: „Do Boga wysoko, do Cara daleko”. Obserwując na co dzień tzw. przestępców politycznych, do których zaliczono przeważnie Polaków, władze miejscowe nie obawiały się ich poglądów czy zasad moralnych. Ich obawy wywoływał jedynie strach przed władzą wyższą. Sytuacja ta również znalazła odbicie w *Dzienniku* Sabińskiego. 30 kwietnia 1842 r. zastanawiając się nad postępowaniem naczelnika zakładów solnych w Usolu pułkownika Mewiusa, którego dzieci Sabiński uczył języków obcych i innych przedmiotów, a jednocześnie czę-

stawiany był za oddzielnym stołem obiadem razem z innymi „przestępcami”, nasz zesłańcic zdumiewał się tym fenomenem. „Jak gdyby na mniej odważał się – pisał – tymże samym ludziom powierzając wychowanie swoich dzieci, a przez to wpływ na ich uczucia i sposób myślenia” (I, 389).

Bardzo ciekawą notę przytacza Sabiński w dniu 21 listopada 1845 r. Chodzi o to, że w domach urzędników spotyka się on z rewidującym Syberię senatorem Iwanem N. Tołstojem. Swoją kulturą i wykształceniem robi wrażenie na senatorze. Ten dowiaduje się od Sabińskiego o istocie i szczegółach jego sprawy. Uznaje ją za nie odpowiadającą ciężkości kary. Próbuje pomóc zesłańcowi. Od siebie zwraca się do zastępcy szefa III oddziału Kancelarii JCM hr. Orłowa o przyspieszenie uwolnienia Sabińskiego (II, 170-171). Po długim oczekiwaniu nadchodzi odpowiedź z Sankt-Petersburga. Senator zaprasza Sabińskiego na rozmowę. Powiadamia tego ostatniego, że niestety dostał odpowiedź odmowną. Co się dzieje dalej? Senator mówi Sabińskiemu, że odpowiedź hr. Orłowa „nie zaspakaja jego życzeń [...] Bo Orłow twierdzi, że [...] nie było przykładu [...] by kto ze skazanych na ciężkie roboty otrzymał tak prędko powrót do kraju [...]”. Wg senatora, to jest „niewłaściwa” przyczyna odmowy. Na koniec biesiady zauważa z uśmiechem: „Wszak wszystko ma swój początek”. „Dziękowałem mu za jego dobre chęci” – kończy Sabiński. Nie umiem sobie wyobrazić tego rodzaju rozmowy pomiędzy rewizorem OGPU-KGB a więźniem GUŁAGU.

W końcu 1843 r. Sabiński zostaje uwolniony od „robót” czyli katorgi i przeniesiony na tzw. posielenie, które nazywa osadnictwem. Jasne, że się cieszy, bo ta forma niewoli dawała „większą możność rozporządzania sobą i swoim czasem”. Kim byli i jak wyglądali owi posieleńcy wiedziałam już z osobistego doświadczenia. Kolejnymi szefami oddziału położnictwa i ginekologii w miejskim szpitalu m. Solikamsk byli znajdujące się na posieleniu wrogowie ludu: Izaak J. Lewitan, zaś w latach ok. 1946-1948 Wiera A. Karajewa, bratowa znanego kompozytora azerskiego Kara-Karajewa. W tym czasie dwie jej córki przebywały w domu dziecka na Sachalinie. Doktor Karajewa była wspaniałym lekarzem, specjalistą wysokiej klasy i kultury osobistej. Z wyjątkową serdecznością podchodziła do dzieci swoich współpracowników. Nie mogłam nie wspomnieć o tym, czytając wpis z 20 grudnia 1844 r. Sabińskiego: „O czemuz są stracone dla moich sierot te starania i czas, które dla cudzych dzieci poświęcam” (II, 101). Ok. 1950 r. doktor Karajewą przeniesiono do innego posielenia, miasteczka Czernogorsk w Ałtaju, gdzie miała uruchomić nowy oddział położnictwa w miejscowym szpitalu. Do wyjazdu została odprowadzona oczywiście pod eskortą GPU.

Były też i bezpośrednie kontakty z posieleńcami. W szóstej-siódmej klasie szkoły języka angielskiego uczyła mnie moskwiczanka Aleksandra W. Metreweli, która towarzyszyła mężowi już wypuszczonemu z więzienia, ale jeszcze znajdującemu się na posieleniu. Naszym kółkiem dramatycznym w szkole średniej, prowadzonym na dobrym poziomie, kierował profesjonalny aktor-posieleniec Eugeniusz I. Iwanow, pochodzący z Leningradu. Był to bardzo ciekawy i uwielbiany przez nas człowiek, z którym wystawialiśmy poważne, kilkuaktowe sztuki, m.in. jeden ze znanych utworów W. Rozowa *Jej Przyjaciele* [W. Rozov, *Jejo družja*]. Była to pierwsza w tym okresie (1954 r.) sztuka, poświęcona problemom zwykłych ludzi i nie mówiąca o kierowniczej roli partii.

W czasie beztróskich wakacji, spędzanych często na brzegach rzeki Usołki, z zachwytem obserwowaliśmy niesamowite popisy pływaka Lewczenki, również posieleńca. Ludzie mówili, że był on czempionem ZSRR i przepływał Dunaj. Nie wiem czym się naraził władzy sowieckiej, ale patrząc na jego pływanie można było uwierzyć, że człowiek kiedyś wyłonił się z wody. Jednym słowem, posieleniec był dla nas znajomą i bliską postacią. Dlatego tak łatwo było mi rozumieć Sabińskiego.

Dobrze nam było znane również wysyłanie listów w cudzych kopertach – to, co Sabiński określa jak „pisywanie drogą urzędową” (I, 277). W *Dzienniku* widzimy wiele przykładów, kiedy w tym procederze uczestniczyli przedstawiciele różnych szczebli administracji albo członkowie ich rodzin. 11 października 1845 r. żona generał-gubernatora Syberii Wschodniej zaproponowała Sabińskiemu przesyłanie listów bezpośrednio od siebie, omijając cenzurę (II, 162). To doświadczenie przydało się, na przykład, mojej rodzinie, kiedy w latach 1960-1970 przyszło nam korespondować – będąc w ZSRR – z wujkiem przebywającym w USA. Adresowane do niego listy najpierw były wysyłane do jego bliskiego przyjaciela w Gdyni, gdzie przekładano je do nowej koperty i wysyłano do USA. Samo się rozumie, że treść listu musiała być dobrze przemyślana.

Dobrze była znana gotowość i chęć urzędników do przyjęcia różnej formy podarków za wykonanie swoich obowiązków służbowych, czyli małe łapówkarstwo, które było pewnym zbawieniem. 5 czerwca 1842 r. (I, 395) Sabiński pisze o ekspedytorze, od którego zależało „szanowanie listów i posyłek wygnańców”. Tamtemu zepsuła się strzelba. Prosił Sabińskiego o oddanie jej do naprawy znajomemu rzemieślnikowi. Usterka okazała się większa niż przedtem myślano. Coś w ogóle trzeba było dorobić na nowo. Cena wzrastała.

Po kilku miesiącach kłopotu i codziennego chodzenia – zapisał Sabiński 5 czerwca 1842 r. (I, 395) – wymęczyłem strzelbę dla p. ekspedytora gubernatorskiej kancelarii w Irkucku. W lutym jeszcze miała być gotowa za 2 tygodnie, a dziś dopiero przyniósł ją p. Miszka, bardzo zręczny, to prawda, ale też najzawodniejszy w świecie rzemieślnik.

Trzeba było zapłacić 20 rubli asygnacjami. Cena duża jak dla zesłańca.

Ale – kontynuuje Sabiński – nie będę żałował pieniędzy, jeżeli podarek ten wzbudzi w panu ekspedytorze większe niż dotąd szanowanie listów i posyłek, jakie w jego ręku dla wygnańców bywają. Podobne podarki odebrał już od moich kolegów, z kolei przemówił się i do mnie.

Obawy o swoje listy i posyłki miały solidne podstawy. Jak znów pisze Sabiński, 3 lipca 1842 r. stwierdzono, że naczelnik wydziału w urzędzie gubernatora cywilnego w ciągu ostatnich 3-ech lat skradł polskim i rosyjskim zesłańcom 20 tys. rubli (I, 400).

Wspominam opowiadanie swojej mamy, jak będąc na zesłaniu jeszcze w posesiołku Siergijewskim na Uralu Północnym w tajdze, dostali zawiadomienie o nadejściu paczki z Polski. Z wielkim trudem donieśli do swojego baraku jakieś wyjątkowo ciężkie pudło, w którym okazało się że są dwie wielkie cegły, starrannie zawinięte w stare gazety.

Bardzo charakterystyczną cechą życia rosyjskiego był – i jest po części nadal – brak rzemieślników. Stąd m.in. bardzo często prymitywnie urządzone mieszkania itd. Sabiński poświęca немало miejsca opisywaniu prób ocieplenia

swego mieszkania. Tego mankamentu miejscowi jakby nie zauważają. 11 listopada 1841 r. Sabiński zapisuje:

Ciupa moja zaczyna być mieszkaniem całe niedogodnym na zimę. Wieje w niej z podłogi i przez ściany. Odkąd nastały mrozy sybirskie, coraz trudniej mi wytrzymać je, osobiście w nocy... Umyśliłem sobie pokryć obiciem ściany mojego mieszkania... Dziś przez cały ranek daremnie szukałem wołoków do tego obicia. Obiecują na później, a tym czasem rad nierad muszę jeszcze marznąć” (I, 351).

19 listopada wołoki wreszcie dostarczono, ale jeszcze 27 XI 1841 r. Sabiński notuje:

To rzecz przeklęta, jak trudno tu doczekać się jakiego bądź rzemieślnika. Odkąd mam już wołoki, co dnia staram się znaleźć kogoś, żeby zrobił listewki do tego obicia potrzebne. Całej roboty nie będzie i na godzinę, zapewniłem, że za to zapłacę natychmiast, a przecież ledwo dziś mogłem na jutro otrzymać tę fraszkę”. Dopiero po dwu dniach, czyli 29 listopada 1841 r. „ściany i drzwi zostały wołokami obite (I, 354).

Sabiński niejednokrotnie podkreślał, że dom wygodny to jest dom nie „po sibirsku zbudowany” (I, 276). 4 lipca 1842 r. po odwiedzinach kolegi współwygnańca zanotował:

Szczepkowski pokazał mnie zrobiony przez siebie planik do przebudowania swojego domu. Jeśli wykona, jak narysował, to będzie miał przystojne, wygodne i nie po sibirsku urządzone mieszkanie. Ale nie zaczawszy jeszcze tej roboty ludzi się urojeniem, że ją skończy przed zimą (I, 400).

Niemniej ciekawą była również przygoda Sabińskiego z jego „obrączką ślubną”. Ten drogi dla niego przedmiot nagle się zepsuł, co napełniło Sabińskiego „niepokojem”. „Nie żebym wątpił o możliwość naprawienia, bo czegoż nie potrafi zrobić kunsztmistrz tutejszy Miszka”. Obawa tkwiła w tym, że ów kunsztmistrz najczęściej robotę wymagającą dwóch godzin potrafił „przewlekać do kilkunastu nawet miesięcy”. Na szczęście w dobrą trafił porę i Miszka tego samego dnia naprawił ten „drogi pierścień”.

Prawda – tłumaczy Sabiński – że zapewniłem mu dwa razy tyle ile żądał za tę robotę, i że od piątej rano do jedenastej nieodstępnie przy nim siedziałem. Ale za to nie dłużej nad te kilka godzin byłem rozdzielony z moją obrączką, z którą, oto blisko już przez 9 lat nie rozstawałem się nigdy. Naprawił ją zgrabnie. Lecz dziwnaż jest zřęczność w człowieku, który dostał się tu za fałszowanie asygnat i polimperialów (I, 450).

Moi goście z Rosji w latach 1990-ch nie mogli uwierzyć, że w domu znajdującym się w odludnym lesie można zainstalować wodociąg, kanalizację, gorącą wodę, centralne ogrzewanie, telefon. Zupełnie wykraczała poza wyobraźnię obecność dwóch łazienek w jednym domu. Słyszałam od wiarygodnych świadków, że podobna okoliczność zadziwiała także wysokiej rangi sowieckich wojskowych po wkroczeniu do Niemiec w czasie II wojny światowej. Na pytanie moich gości, kto mógł to wszystko wykonać, odpowiadałam: „Rzemieślnicy wiejscy”. Wtedy nie potrafili zrozumieć kto to taki.

Były jednak zjawiska, które diametralnie różniły się od sowieckiej rzeczywistości zesłańczej. Był to stosunek miejscowej ludności i władz do polskich ze-

słańców i Polaków w ogóle. „Miłe w samym smutku – notował Sabiński 1 lutego 1840 r. – mamy wrażenie, postrzegając we wszystkich tutejszej każdej klasy mieszkańcach przychylność ku nam, szacunek i poszanowanie [...]” (I, 207). Tę ogólną tezę Sabiński potwierdza licznymi przykładami. Narzeczony córki naczelnika zakładów solnych w Syberii Wschodniej pułkownika Andrzeja Mewiusa, rotmistrz żandarmerii Włodzimierz Połtoranow, przebywając w Głównym Zakładzie Nerczyńskim uczył się *Pieśni Porannej (Kiedy ranne wstają zorze Karpieńskiego)*, przepisanej rosyjskimi literami, żeby móc „przed swoją narzeczoną pochwalić się umiejętnością śpiewania pieśni całej” (I, 269). Wrażenie to nie zmieniło się w ciągu całego roku, gdyż 27 października 1840 r. znów stwierdził, że „ogólnie mówiąc, nierzadko trafia się tu napotykać wielbicieli języka naszego” (I, 269). Języka polskiego chcieli się uczyć tak przedstawiciele klasy kupiecko-przedsiębiorczej, jak i inteligencko-urzędniczej. Nie było to źle widziane.

Trzeba też przyznać, że władza rosyjska w XIX w. nigdy nie dawała takich wytycznych, jakie np. określił w swoim wierszu *Białe Wilki [Biełyje wolki]* poeta sowiecki Włodzimierz Ługowskoj. Wiersz został napisany w 1939 r. i opublikowany w zbiorze *Oswoboditielnyj pochod [Oswoboditielnyj pochod]*, wyd. w 1940 r. Brzmiało to następująco:

Na smieniu rozgromlennym w prach korpusam, posledyszy wołki briedut po lesam [...] Towariszcz bojec, bud' wsiegda naczieku [...] Goni, istrieblaj etu swołocz nocznuju. Ubiej, uniczoż etu staju wołkow, pust' bratskuju ziemlu oni nie pozoriat [...] Nie żyć wam, nie krastsia, nie włastwować bolsze... Proklatyje wołki panskoj Polszy,

co tłumaczy się następująco:

Po rozgromionych w proch korpusach, wilki niedobitki czają się w lasach [...] Towaryszcz bojec, bądź zawsze czujny [...] Goń, niszcź tę nocną swołocz [...] Zabijaj, wytrzebaj tę sforę wilków, żeby nie hańbiły one braterskiej ziemi [...] Nie żyć wam, nie skradać się, nie rządzić więcej. Przeklęte wilki pańskiej Polski.

Temat „Obraz polskich jeńców w propagandzie sowieckiej 1939-1941 l.” [*Obraz polskich wojennoplennych w sowietskiej propagandzie 1939-1941g.*] został poruszony w ciekawym artykule Julii Bujanowej, opublikowanym w tomie *Istoriczeskaja Polonika XX wiek*. Były to prace zwycięzców pierwszego konkursu prac studenckich i doktoranckich pt.: „ZSSR i Polska w polityce międzynarodowej, XX w.”, poświęconych pamięci prof. O. N. Kena, Sankt Petersburg 2009 r., s. (62-75). Niestety tego wątku sprawdzić na podstawie własnych doświadczeń nie mogłam z racji swego wieku. Wiem jednak, że moi wujkowie zapłacili życiem za deklarowanie się Polakami.

Czy znane mi były przypadki pomagania innym jako Polakom? Otóż żona protoierieja prawosławnej cerkwi w m. Perm na Uralu Elizawieta Żochowa opowiadała mi, że w czasie II wojny światowej, mieszkając w obwodzie archangielskim, była kierowniczką przedszkola, do którego przyprawiano również polskie dzieci. W pewnym momencie zauważyła, że rano, przed śniadaniem opiekunki tych dzieci ze swoimi podopiecznymi jakby starały się na krótki moment odosobnić się. Domyśliła się, że chcą pomodlić się. Nie tłumacząc powodu, zarządziła personelowi nie wchodzić do ich pomieszczenia w tym czasie. Nic podobnego nie potrzebowali Sabiński i jego współtowarzysze. Ich życie re-



ligijne przebiegało bez żadnych zakłóceń.

Takiego spontanicznego współczucia, bez okazywania i demonstracji było na pewno więcej. Jakiś czas po wojnie, gdzieś w latach 1947-1949, pewnego dnia moja mama wracała z pracy, ze szpitala miejskiego w m. Solikamsk na Uralu. Podszedł do niej bardzo wyniszczony mężczyzna i łamanym językiem rosyjskim poprosił o wsparcie. Mówił po rosyjsku z wielką trudnością. Słyszając mocny polski akcent, mama poprosiła go, by mówił po polsku. Rzucił się całować ją po rękach. Prosił o kilka kopiejek. Mama oddała mu wszystko, co uzbierała w torebce. Były to 3 ruble, nie miała dla nas suma. Mama później żałowała tylko jednego, że nie miała nic więcej. Zaprosić go do domu na jakiś poczęstunek nie mogła, ponieważ mieszkaliśmy wtedy w specposiołku, położonym o ok. 8 km od Solikamska.

Jak wyglądała u Sabińskiego ogólna ocena zesłania-wygnania? Był on skazany początkowo na roboty katorżnicze, zaś później przeniesiony na osiedlenie. Stereotyp kazałby nam widzieć kopalnie, twierdze lub fabryki. W przypadku Sabińskiego i jego współtowarzyszy, zesłanych w 1839 r., tego faktycznie nie było. Po ciężkiej drodze na katorgę, korzystali oni ze stosunkowo swobodnego poruszania się, oczywiście w określonych granicach; mieli możliwości pracy zarobkowej, uczyli dzieci wysokopostawionych urzędników, kupców lub przedsiębiorców w ich własnych domach, byli zapraszani tam na poczęstunki i święta; korzystali z ich pomocy w przesyłaniu korespondencji, prenumerowali pisma i gazety. Mieszkali w wynajętych przez siebie domach lub kwaterach. Prawie swobodnie kontaktowali się z rosyjskimi wygnańcami z 1826 roku (dekabrystami). Przedstawiciele administracji przywozili im książki i pisma od nich. Mieli możliwość okazywania sobie wzajemnej pomocy w szerokim zakresie. Mogli otrzymywać przesyłki rzeczowe i pieniężne od swoich rodzin. Takie rzeczy były niemożliwe na zesłaniu sowieckim. Mimo to „wygnanie – stwierdzał Sabiński – wszystko swoim kirem pokrywa” (II, 259, 1847 r.), zaś uczucia zesłańca równają się słowu „cierpienia” (I, 265).

Co było oprócz syberyjskiego życia, „gdzie obrót listów trwał po półroku, zamiecie przez całe tygodnie, zaś beznadziejna syberyjska nuda nie kończyła się nigdy”, tak złego na zesłaniu? Pod koniec 1840 r., 1 grudnia Sabiński tak odpowiadał na wyżej postawione pytanie:

[...] przekłeta dola dzisiejsza, w której czas mój, czynności, kroki nie do mnie należą [...] Cała moja istota [...] jak bydle lub nieożywiony przedmiot jest w samowolnym drugich rozrządzaniu! Kiedy o kilka godzin, nie o chwile swobody, ale przynajmniej nie tak ciężko skrópowanego oddychania żebrać muszę jak o jałmużnę i zbyt często lodowatej doświadczam odmowy” [I.275-276]. Jego smutku nie mogły rozwiać nawet weselsze chwile, powiedzmy rozrywkowe. Po balu u wspomnianego wyżej Mewiusa 5 stycznia 1841 roku znów notował: „Okropne widma wygnania i utraty [...] mrozą uczucia, zatruwają pokarmy, oniemiają rozmowę” tych, którzy nie są „śród swoich w domu, w ojczyźnie” (I, 288).

Mijały lata, kończył się trzeci rok zesłania, które nie stawało się milsze:

30 września 1842 r. [...] w duszy mojej odzywa się zawsze nie zatłumiony głos [...] najświętszych uczuć, wołający pomsty u Boga za to, że jestem barbarzyńskiego gwałtu ofiarą, że nie tu być powinienem, lecz tam gdziebym chciał i gdzie jeszcze mógł zostać przydatnym dzieciom, rodzinie, spółziomkom, ojczyźnie.

I to właśnie było dla Sabińskiego (i nie tylko dla niego) najważniejszym nieszczęściem wygnania, że człowiek był jakby zawieszony w tymczasowości,

w próżni i czekał mimo woli, aż ten stan się skończy. Czytając *Dziennik* Sabińskiego nie odnosi się w żadnym wypadku wrażenia, że się nudził. Odwrotnie, raczej brakowało mu na wszystko czasu. Wydawało by się, że nastąpi przynajmniej przyzwyczajenie, ale nadchodzi 1843 r. i znów czytamy: „30.09.1843. Pięć lat minęło jak jestem niewolnikiem, przemocną zemstą rzucony [...] na dowolną pastwę ciemnej, nienawistnej, nikczemnej służalczej zgrai [...]” (I, 486). Mijają dwa tygodnie i 15.10.1843 Sabiński znów pisze o „nieznośniej nudocie życia włóczęgo się bez pożytku i celu” (I, 489).

Pod koniec listopada, dokładnie 22 XI 1843 r. Sabiński zostaje zwolniony z katorgi i przeniesiony na tzw. osadnika, jak to już wspomniano. Cieszy się za siebie i swoich współtowarzyszy:

[...] nakoniec wyjdziemy z tego obmierzłego zakładu, w którym wszystkie kroki nasze krępowane były nieznośną i poniżającą podległością [...] gdzie ja osobiście, w ostatnich dwóch latach byłem jak na łańcuchu (I, 499).

A przecież w tym zakładzie uczył języków obcych córki swego naczelnika, był zapraszany na obiady, tyle, że za osobnym stołem, co go boleśnie raniło. Nic nie mogło zastąpić spotkania i rozmowy „ze swoim, o swoich i w swojej mowie, której nie kaziły obce uczucia, nie pstrzyły cudze wyrazy, ani też obce twarze” (II, 176). Jednym słowem zesłanie było dla Sabińskiego zawsze jak „obmierzły męczonych i męczących łotrów stek” (I, 486).

Cennym fragmentem *Dziennika* Sabińskiego są karty, poświęcone wygnańcom rosyjskim, tzn. dekabrystom. Są to świadectwa naocznych świadków, zarejestrowane na bieżąco, wyjątkowo spostrzegawcze charakterystyki wielu znanych, owszem, postaci, ale zawsze uzupełnione i ożywione własnymi obserwacjami wieloletniego szczerzego przyjaciela rosyjskich wygnańców, który w ciągu kilku lat znajdował się z nimi w bardzo bliskich kontaktach. W jego *Dzienniku* m.in. znalazły odzwierciedlenie tragiczne wydarzenia z ich wspólnego życia. Takie, np. jak nagła śmierć dekabrysty Aleksego Juszniewskiego dosłownie nad trumną jego współtowarzysza Fiodora Wadkowskiego w czasie mszy żałobnej w kościele katolickim w Irkucku.

Tylko ktoś wszystko i właściwie rozumiejący, kim niewątpliwie był Sabiński, mógł zanotować jako najważniejsze wydarzenie w dn. 26 stycznia 1846 r.: „uroczyste nabożeństwo żałobne za duszę czcigodnej pamięci Michała Łunina”. Zdawał sobie sprawę jakiej rangi człowieka zabrakło. M. Łunin – uczestnik wojny 1812 r. i wszystkich marszów zagranicznych 1813 r., człowiek o nadzwyczajnej odwadze, kulturze i sile ducha, był jednym z najwybitniejszych przedstawicieli dekabryzmu. Skazany na 20 lat katorgi w 1826 r. odbywał karę w najcięższych więzieniach katorżniczych i kopalniach, od 1836 r. przebywał na osadnictwie w gub. irkuckiej. W 1841 r., rzekomo, za znaleziony podczas rewizji rękopis pt. *Spojrzenie na tajną organizację w Rosji. 1816-1826 r.*, został ponownie aresztowany i osadzony w jednym z najbardziej rygorystycznych więzień katorżniczych w Akatui, gdzie w niewyjaśnionych do końca okolicznościach zmarł w 1845 r. (J. Trynkowski, *Drugi areszt dekabrysty M. S. Łunina*, [w:] *Polscy zesłańcy w Rosji w XIX-XX w. Ośrodki regionalne*, Kazań 1998 (1999), s. 196-200). Śmierć Łunina wywołała wielkie poruszenie w środowisku zesłańczym, wiele osób nie wierzyło w jej naturalny charakter.

Dla Sabińskiego, biorącego udział w mszy żałobnej, najbardziej wzrusza-

jącym momentem było zachowanie byłego generała, również uczestnika wojen 1812-1813 r., dekabrysty Sergieja Wołkońskiego: „przez cały czas nabożeństwa zalanego łzami” (II, 185). Sabiński nadzwyczaj trafnie określił powody dla których S. Wołkoński „żywiej od innych swoich towarzyszy” odczuwał „stratę zmarłego”, bo „opłakiwał w nim najdawniejszego swojej młodości i lat męskich przyjaciela”. Wynika z tego, że Sabiński musiał dobrze znać historię tych dwóch ludzi.

Żałować należy, że Sabiński nie zapisał treści rozmów tak z Polakami, jak i z Rosjanami, chociaż jest to całkiem zrozumiałe. „Płochiję pieśni sołowju w kogtiach u koszki” (Marnie się śpiewa słowikowi w pazurach kota) – mówi rosyjskie przysłowie. To byli ludzie „podnadzornyje” i samocenzura była niezbędnym warunkiem ich przetrwania. Tylko w kilku przypadkach Sabiński ledwo zaznaczył temat bardzo interesującej rozmowy, m.in. kiedy zanotował, że przez pewną noc słuchał „z chciwością” szczegółów sprawy dekabrystów z 1826 r. w rozmowie z Sergiuszem Trubeckim, b. pułkownikiem, jednym z liderów ruchu dekabrystów. Trochę szerzej przedstawił swój pogląd na wychowanie chłopców zazwyczaj rozpieszczanych przez matki. Tym razem chodziło o syna Wołkońskich, matką którego była wielce szanowana przez Sabińskiego Maria Wołkońska. Mimo prawie uwielbiania tej osoby Sabiński miał zastrzeżenia co do wychowania przez nią syna. Ojciec chłopca zgadzał się z Sabińskim.

Bardziej szczegółowo przedstawił Sabiński dyskusję o możliwościach języków polskiego i rosyjskiego (II, 97-98). Rosyjskiego nie znał za dobrze – w odróżnieniu od języków zachodnioeuropejskich – jednak uważał, że język polski jako wcześniej ukształtowany miał większe możliwości wyrazu. Notując fakt rozmowy oceniał nie jej temat, lecz raczej charakter rozmówcy, stan jego wiedzy, zdolności umysłu i możliwość wzajemnego zrozumienia. Mówiąc o następnym wybitnym dekabryście Nikicie Murawjewowie, pisał: Z wielką przyjemnością i pożytkiem słuchałem jego zajmującej rozmowy. Gruntownie uczony i jak widać odczytany wielostronnie, mówił dobrze w różnych przedmiotach, wiele myśli głębokich i całe nowych postrzeżeń, wyrażając powabnie i trafnie. (I, 284). To był zapis z 28 grudnia 1840 r. Następnego dnia, po przegadanej całej nocy z innym dekabrystą – „młodszym Poggio” – znów nie żałował czasu straconego dla odpoczynku, bo „przynajmniej pokrzepił się nieco orzeźwiająjącym wrażeniem społeczeństwa duszy i myśli mojej odpowiedniego, do jakiego nawykłem całe życie”. Te zapisy chyba nie wymagają komentarzy.

Natomiast, jeżeli chodzi o zrozumienie ogólnej problematyki dekabryzmu, który jako ruch powstawał w narodowo niepodległym państwie, była ona raczej nie do końca jasna dla Sabińskiego. Jako Polak interesował się przede wszystkim niepodległością swojego kraju, zaś w innych imponowała mu ich erudycja, intelekt i przymioty moralne. Z tego właśnie punktu widzenia oceniał swoich przyjaciół Rosjan.

Jasne, że te przypadkowe i bardzo subiektywne uwagi, wywołane lekturą *Dziennika* Sabińskiego, w żadnym stopniu nie wyczerpują jego nadzwyczajnie bogatych treści, wyrażonych do tegoż wspaniałą polszczyzną. Jest to zajmujące czytanie i bardzo cenne źródło dla opracowania wielu zagadnień polsko-syberyjskiej rzeczywistości I połowy XIX w. i nie tylko.

Reasumując, można przyznać, że Rosja w XIX w. nawet pod rządami ce-

sarza Mikołaja I, była zupełnie innym krajem niż Związek Sowiecki, co znalazło swoje odbicie i w ogólnych warunkach zesłania. W dziejach naszego wschodniego sąsiada zawsze był ważny aparat represji. Ale zawsze taki aparat musiał uruchomić człowiek. Na pewno możliwości owego „człowieka” w czasach sowieckich były nieporównywalnie skromniejsze niż w czasach carskich. Ale nawet w aparacie represji GUŁAGU znajdowali się tak gorliwi wykonawcy odgórnych poleceń władzy wobec zesłańców, jak i urzędnicy bardziej umiarkowani. Ci ostatni, widząc bezsens niektórych drobiazgowych nakazów władzy, a często potrzebując umiejętności zesłańców dla załatwienia podstawowych potrzeb otaczającej ludności, patrzyli z przymróżeniem oka na niektóre mniej istotne wskazówki. Jak mówiło się o takim, że z własnej inicjatywy złego nic nie zrobi. A to bardzo wiele znaczyło w tych koszmarnych warunkach.

Co zaś tyczy ludności tubylczej w miejscach zesłania, to była na pewno o wiele bardziej wrogo nastawiona początkowo przeciwko „Wrogom klasowym” i wystraszona, ale z biegiem czasu siłą rzeczy przekonywała się o kłamliwości rozpowszechnianych o posieleńcach pogłosek. Fałszywe stereotypy najbardziej przełamywały dzieci. Powoli stosunki miejscowych z wygnańcami układały się całkowicie poprawnie, chociaż zawsze, o ile pamiętam, były to odosobnione od siebie społeczności.

Fundamentalne zmiany, które przeżyło cesarstwo rosyjskie w XX wieku, nie unicestwiły tak istotnego zjawiska w życiu społeczno-politycznym kraju jakim było zesłanie. Nic zatem dziwnego, że pewne jego cechy przetrwały w określonych, jakże sroższych modyfikacjach w okresie sowieckim!